



KAMIEŃ

**Napisał: Sławomir Mil**

**Ilustrowała: Elżbieta Zubowska**

...Było coraz cieplej. Dlaczego? Wiele jest szkół wypowiadających się na ten temat. I tak samo wiele hipotez.

Chociażby:

- oś obrotu Ziemi zmieniała się nieco,
- opadły pyły wulkaniczne zalegające wcześniej wyższe warstwy atmosfery, a zatem utrudniające swobodny i pełny dostęp promieniowania słonecznego,
- Słońce zmieniło swą charakterystykę widmową,

- atmosfera zmieniała...
- pole magnetyczne...
- złe duchy ustąpiły.



Było więc coraz cieplej...

Lodowiec ustępował na północ. Ustępował – nie jest to chyba najlepsze określenie dla bezświadomego procesu, dziejącego się zupełnie naturalnie – wycofywał się w każdym razie. Powoli,

powoli... Kilkaset metrów, kilometr, dwa na rok. Coś takiego... I odkrywał coraz większe blizny na powierzchni Ziemi; blizny, które zostawił „ciągnąc” kiedyś na południe...

(Mechanizm przemieszczania się lodowca jest zupełnie inny przy jego następowaniu i przy wycofywaniu się; cofając się, lodowiec topnieje po prostu, zostawiając po sobie trochę wody i odkrytego terenu; pracę natomiast na południe zachowuje się jak ciekąca smoła – cały ruch odbywa się pod wpływem ciśnienia jego narastających warstw zewnętrznych, pod wpływem których oprócz ruchu odbywa się naturalne rzeźbienie powierzchni gruntu poddanego działaniu lodowca...)

...Pozostały więc rozliczne moreny różnych typów, pradolina, jeziora polodowcowe, jakieś rynny i co kto tylko chce. Nas jednakowoż interesuje tylko jeden punkt. Ten, w którym lodowiec pozostawił – KAMIEN. Niewątpliwie pochodził on gdzieś ze Skandynawii i przyniesiony został w fazie ekspansji lodowca. Był to wspaniały okaz granitowej bryły – na oko: 5 na 3 na 4 metry. Tuż po odsłonięciu przez lodowiec prezentowała się wspaniale; czysto i jasno błyszcząły wszystkie jego składniki, a więc mika, kwarc i skałki. Każdy z nich dostarczał innych barw, innego współczynnika załamania światła, a w efekcie – innych wrażeń.

...Później spadły deszcze, pierwsze od kilkunastu tysięcy lat (przedtem było zbyt zimno – padał tylko śnieg lub grad). Spłukały one zewnętrzny polor Kamienia, wyrównały i wygładziły jego powierzchnię; zatracił więc swoje ostre, błyszczące kontury.

Lodowiec wycofywał się coraz dalej, ale pozostawione przez niego wody znalazły swą naturalną granicę niedaleko od Kamienia. Kilkaset metrów na północ od niego zaczynało się naturalne zagłębienie, które na wiele tysiącleci miało pozostać naturalnym zbiornikiem

wód tego regionu, a jako że łączyło się z Wszechoceanem – lokalnym morzem śródlądowym. Tak więc i było... Morze, piasek, dalej strome wzniesienie, a na nim – Kamień...



Na początku wszystko to było ciche i spokojne. Woda, piasek, skały, kamienie...

Powoli, powoli przyszły rośliny. Najpierw mech, później drobne porosty, niewielkie krzaczki, karłowate drzewa – tundra. To także nie pozostało bez wpływu na wygląd Kamienia – obrósł on mchem przez co zyskał na godności i pozornym wieku.

Z czasem napłynęły i zwierzęta. Najpierw drobne wszystkożerne, później renifery...

I zwykłą koleją rzeczy za reniferami przyszli łowcy, żywiący się ich mięsem. Renifery żywiły się porostami, trawą, mchem; myśliwi – mięsem reniferów; kości zwierzyny i odchody użyźniały z kolei glebę – sielanka wręcz, a naukowo – nisza ekologiczna. Trwało to kilka tysięcy lat. Kamień leżał w zasadzie na uboczu wydarzeń tego okresu...

Na pozór był to stan, który powinien trwać wiecznie. Wszystko było tak wspaniale ustalone! Na stu kilometrach kwadratowych mogło się wyżywić stado reniferów liczące gdzieś tak z siedemdziesiąt sztuk, a z tego żyła jedna rodzina, której głowa była średnio zdolnym myśliwym. Nic więc nie powinno zakłócać niszy ekologicznej, nawet nieliczne drapieżniki zapuszczające się w te strony. Nie były one w stanie konkurować z myśliwymi, toteż szybko – póki nie zginęły z głodu – musiały wycofywać się w cieplejsze okolice.

Mniej więcej w tym czasie Kamień doznał pierwszego kontaktu z żywym stworzeniem. Renifery, liniejąc na wiosnę, lubiły czochoać się o coś. Kamień był bardzo dobrym obiektem do tego celu...

Zaden stan, nawet tak idealny, nie może jednak trwać wiecznie. W wiele, wiele lat po myśliwych przyszedli w te okolice inni ludzie – odziani w grubsze skóry i wyposażeni w o wiele lepszą broń – metalową. Nie, nie polowali oni wcale na renifery – a mogąc to robić znacznie skuteczniej, zniszczyliby tubylców na zasadzie konkurencji – na to byli zbyt wygodni i leniwi. Oni polowali na myśliwych, gdy ci wracali z łupem...

Wojownicy – bo tak ich chyba trzeba nazwać – musieli się gdzieś osiedlić. Gdzieś blisko wybrzeża, skąd można byłoby śledzić ruchy zwierzyny i myśliwych... Założyli osadę – gdzieś ze trzy kilometry od Kamienia, wzdłuż linii brzegowej.

Dzieje ich społeczności były długie i złożone... Z czasem, na skutek własnej pazerności, zniszczyli myśliwych i przyszło im przymierać głodem. Napłynęli jednak kolejni łowcy, a wraz z nimi i rolnicy, rozmnażający jadalne gatunki roślin. Wojownicy zmądrzeli – widząc się uzależnionymi od nich, zabierali im tyle, aby tamci też mogli przeżyć. Z czasem wytworzył się ustrój feudalny... Część napływowej ludności jeła się rzemiosła, część handlu, inni pozostali przy „wrodzonym” myślistwie lub rolnictwie.

Zgodnie z normalnym (Gaussa) rozkładem wszelkich cech biologicznych, byli wśród wojowników różni – słabsi, silniejsi, głupszy, mądrzejsi... Ci ostatni doszli szybko do wniosku, że niewiele trzeba robić, aby się wyżywić, a i zyskać pewien mir w swoim środowisku. Założyli po prostu klan wiedzących nieco więcej niż ogół. Obserwowali, studiowali otoczenie... Starczyło chociażby raz coś przewidzieć (a wiele procesów odbywało się cyklicznie), ażeby zostać uznanym za – nie, nie Wodza, gdyż tym był zawsze najsilniejszy, ale za, za... kapłana po prostu.

Uzyskaną w ten sposób pozycję można było potęgować dowolnie. Własne

hermetyczne słownictwo, nietypowe szaty ze skórek co rzadszych zwierząt, piór różnych ptaków, a w ogóle nimb i tajemniczość...

Z czasem oprócz siebie trzeba było przedstawić jakiś symbol zewnętrzny reprezentujący siły stojące ponad nimi, które reprezentowali przed resztą społeczności.

I niedaleko osady znalazł się taki symbol – Kamień.

Wiele pokoleń kapłanów przeminęło i nikt już nie pamięta, który to z nich odważył się (sami uwierzyli w końcu w świętość Kamienia i bali się go nie mniej niż pospólstwo) wstąpić nań. Ale to jeszcze nic. Jego wnuk czy prawnuk znalazł na szczycie Kamienia szczelinę wystarczającą na to, aby zatknąć w niej tęgi konar. Z kolei jego prawnuk wyciął w tym konarze zarys twarzy...

Kapłani pozostawali ci sami, ale wojownicy zmieniali się w międzyczasie nie raz i nie dwa. Podobne procesy działy się wszak wzdłuż całego brzegu Morza. Ci z wojowników, których głód przycisnął, a nie mieli na swoim brzegu słabszych konkurentów, nauczyli się budować łodzie, aby zwiększyć zasięg penetracji...

Rejon Kamienia przechodził w ten sposób z ręki do ręki, ale tylko w sensie zwierzchnictwa. Warstwa kapłańska nie zmieniała się...

Niemniej jednak coś zaczęło się zmieniać. Bo to i łupieżcy z północy, i niezadowolone poddanych (bitych z każdej strony), a w końcu i rozłam wśród rządzących... Nędza i upadek, jednym słowem...

Może dałoby się to przeżyć, jako że działo się do we „własnym”, od setek lat ustalonym gronie, gdyby nie kolejni najeźdźcy, tym razem z południa. Ci, nie bawili się już w nic. Odziani w metal od góry do dołu, zaprowadzili swe rządy twardą ręką. Ale, o dziwo! I oni nie byli najważniejsi...

Przyszli z nimi, czy też za nimi (nieważne) i inni – odziani w cienkie, czarne szaty, a mający jako jedyną broń – wątłe metalowe krzyżyki. I dopiero ci byli najważniejsi...

Ich oko od razu spoczęło na Kamieniu...

Naturalną kolejną rzeczą, rzeźbiony konar na jego szczycie został usunięty i spalony (a przy okazji wyklęty razem z szczielami), a na jego miejscu zatknięto krzyż...



Działo się to i owo, ale jakby coraz szybciej. Już nie tysiąclecia, nawet nie setki lat, ale ich dziesiątki ustalały rytm zmian. Przyszła i Nauka i Cywilizacja (?)...

Do najintensywniej rozwijających się nauk należała fizyka – nauka o nieożywionej materii. Z czasem doszło do częściowego wyjaśnienia pewnych mechanizmów materii, co skwapliwie wykorzystano do celów militarnych – kaśta wojowników nadal sprawowała rządy, a klan kapłański błogosławił ich działalność...

W owym czasie Kamień znajdował się w połowie drogi między dwoma wielkimi portami handlowo-wojskowymi. Do tej pory nie wadził nikomu. Więcej, w niektórych kołach uchodził nawet za zabytek przyrody i Bóg wie jaką starożytność, tak że gdy prowadzono autostradę między oboma portami – ominięto go eleganckim i płynnym łukiem.

Przetrwał więc i okres Cywilizacji Technologicznej...

Mijały lata. Autostradą koło Kamienia przejeżdżały coraz doskonalsze pojazdy. Był nawet okres, kiedy Kamień stał się modny. Fotografowały, filmowały, holowizowały się przy nim pary, dzieci, rodziny... Wydawało się, że będzie to kolejna nisza ekologiczna, a raczej homeostaza... Niestety...



Nieważne kto rozpoczął ostatnią wojnę w historii planety. Interesuje nas przecież tylko Kamień! Wspomnieliśmy, iż leżał on pomiędzy dwoma dość ważnymi portami. Nic więc dziwnego, iż uderzenie nuklearne zadane zostało jednocześnie na oba...

... cóż, uderzenie nuklearne pozostawia po sobie wielki krater ziemi wypalonej, zniszczonej i niczyjej na wiele lat, ale cóż dzieje się na peryferiach wybuchu? – powstaje wybrzuszenie, coś jak otoczka leja konwencjonalnego wybuchu, tyle że wielokrotnie potężniejsze; a jako że nasz Kamień leżał w połowie drogi między obydwoma portami różnymi w tym samym momencie, znalazł się w „obustronnym wybrzuszeniu”, a więc został „pchnięty” do góry z obu stron. I wystarczyło to, aby nadać mu pierwszą prędkość kosmiczną.

Krażył zatem wokół Ziemi przez następne setki milionów lat...

Po ich upływie zderzył się nieuchronnie (prawo wielkich liczb) ze sporym odłamkiem po byłej piątej planecie i chociaż stracił jedną trzecią ze swojej masy, to uzyskał w zamian prędkość pozwalającą mu opuścić Układ Słoneczny...

Kolejne miliony lat miotany był różnymi siłami grawitacyjnymi. Najczęściej przebywał w próżni, o całe lata świetlne od jakiegokolwiek ciała materialnego. Czasem zbliżał się do jakiejś gwiazdy.

I tak jak przedtem prawo wielkich liczb oderwało go od Ziemi, tak w końcu zrealizowane zostało znikomo małe prawdopodobieństwo... Przecież gdyby miał on spaść gdzieś, to z  $p = 0,999998$  powinien spłonąć w atmosferze jakiegokolwiek gwiazdy.

Zadziało tu jednak owe 0,000002. Spadł na planetę, a co więcej – planetę z biosferą (pominiemy już tu prawdopodobieństwa, gdyż ilość zer po przecinku nic nikomu nie powie).

Ameboidalne stwory swobodnie krążące po dżungli pokrywającej prawie całą planetę, której powierzchnia stanowiła jedno wielkie bagno, zdołały w procesie pożerania jeszcze prymitywniejszych stworzeń wykształcić coś w rodzaju specyficznej inteligencji...

Kamień, który spadł im z Nieba miał po wszystkich swoich przejściach wy-

miary już tylko centymetrowe. Ale dla nich był on na tyle duży i znaczący, że musiano go uznać za coś nadprzyrodzonego. Znalezione więc dla niego względnie suchy obszar, ustawiono go tam pieczołowicie...

Kilka „ameb” zajmowało się tylko Kamieniem...

